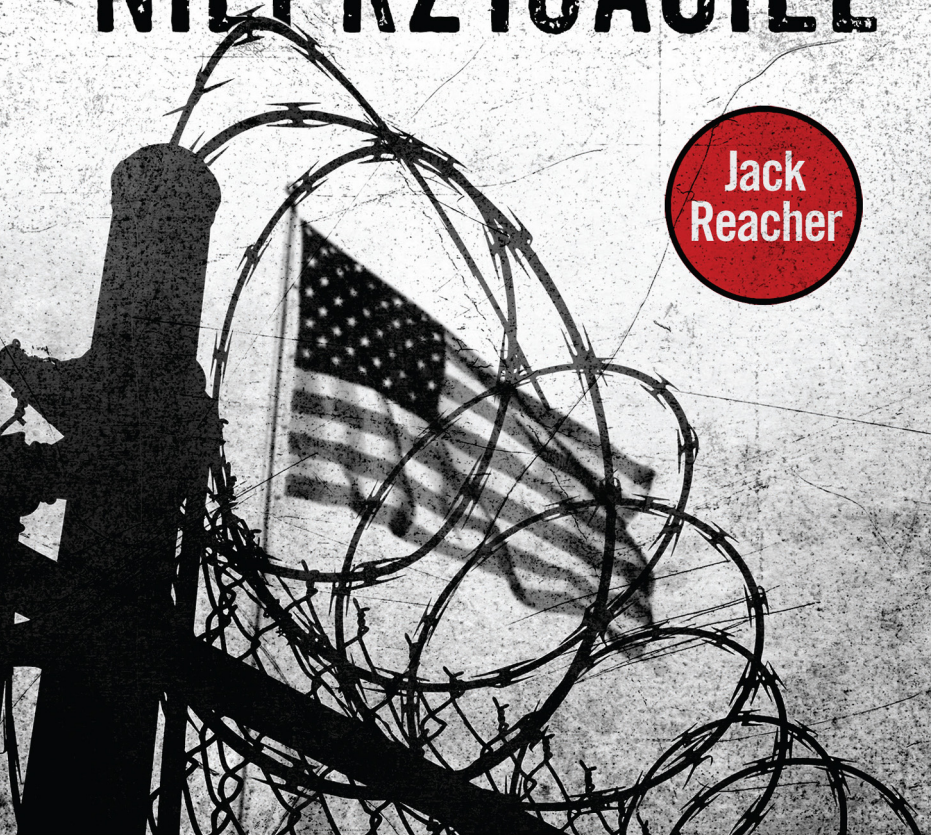


LEE
CHILD

NIEPRZYJACIEL

Jack
Reacher



1

To chyba nie atak serca. Może taka była ostatnia myśl Kena Kramera, gdy ogarnięty paniką przestał oddychać i runął w otchłań. Naruszył wszelkie możliwe zasady i wiedział o tym. Znajdował się w miejscu, w którym nie powinien się znajdować, spotykał z kimś, z kim nie powinien się spotykać, i miał przy sobie rzecz, którą powinien trzymać w bezpieczniejszym miejscu. Ale uchodziło mu to na sucho. Podejmował ryzyko i wygrywał. Był w szczytowym momencie gry. Prawdopodobnie się uśmiechał. Aż do tego nagłego łupnięcia w piersi, które go zdradziło. Wtedy wszystko obróciło się wniwecz. Sukces stał się katastrofą. Nie miał czasu, żeby cokolwiek naprawić.

Nikt nie wie, jak wygląda śmiertelny atak serca. Nikt go nie przeżył, żeby nam opisać. Medycy mówią o nekrozie, zakrzepach, niedotlenieniu i zablokowanych naczyniach krwionośnych. Twierdzą, że poprzedza je migotanie komór albo nic w ogóle. Używają słów w rodzaju „zawał” albo „migotanie”, a powinni po prostu powiedzieć: padasz trupem. Tak to właśnie wyglądało w przypadku Kena Kramera. Po prostu padł trupem, zabierając do grobu wszystkie sekrety, a w aferze, jaka potem wybuchła, ja też o mało nie straciłem życia.

• • •

Siedziałem sam w cudzym gabinecie. Na ścianie wisiał zegar. Nie miał sekundnika. Wyłącznie wskazówki godzinową i minu-

tową. Był elektryczny. Nie tykał. Pracował cicho i w pokoju też panowała cisza. Wpatrywałem się uważnie we wskazówkę minutową. Nie poruszała się.

Czekałem.

W końcu się przesunęła. Skoczyła do przodu i kąt między wskazówkami wzrósł o całe sześć stopni. Jej ruch był mechaniczny, ograniczony i precyzyjny. Poruszyła się, zadrżała lekko i znieruchomiła.

Minuta.

Jedna minęła, jedna została.

Jeszcze sześćdziesiąt sekund.

Dalej ją obserwowałem. Zegar trwał w bezruchu bardzo, bardzo długo. A potem wskazówka znowu się przesunęła. Kolejne sześć stopni i kolejna minuta. Stała dokładnie na godzinie dwunastej i rok 1989 zmienił się w rok 1990.

Odsunąłem do tyłu krzesło i stanąłem za biurkiem. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Pomyślałem, że ktoś chce mi życzyć szczęśliwego Nowego Roku. Myliłem się jednak. To był gliniarz, który dzwonił, ponieważ w motelu trzydzieści mil od bazy miał martwego żołnierza.

— Chcę mówić z oficerem dyżurnym żandarmerii — powiedział.

Usiadłem z powrotem za biurkiem.

— Przy telefonie.

— Mamy jednego z waszych. Jest martwy.

— Jednego z naszych?

— Żołnierza — wyjaśnił.

— Gdzie?

— W motelu, w mieście.

— Jak umarł? — zapytałem.

— Najprawdopodobniej na atak serca — odparł facet.

Przez chwilę milczałem. Obróciłem kartkę wojskowego kalendarza na biurku z trzydziestym pierwszym grudnia i pokazała się z pierwszym styczniem.

— Nie ma nic podejrzanego?

— Nie widzę.
— Widział pan wcześniej ataki serca?
— Wiele razy.
— Okay. Niech pan zadzwoni do dowództwa bazy — powiedziałem i dałem mu numer. — Szczęśliwego Nowego Roku — dodałem.

— Nie powinien pan tu przyjechać? — zapytał.

— Nie — odparłem i odłożyłem słuchawkę. Nie musiałem tam jechać. Armia to duża instytucja, trochę większa od Detroit i trochę mniejsza od Dallas i równie beznamietna jak oba te miasta. Jej obecny stan osobowy wynosi 930 tysięcy osób, mężczyzn i kobiet, które stanowią wprost idealną próbkę całej populacji Stanów Zjednoczonych. Średni wskaźnik umieralności w Stanach wynosi około 865 osób na 100 000 mieszkańców rocznie, a ponieważ nie trwały właśnie działania wojenne, żołnierze nie umierali ani częściej, ani rzadziej od normalnych ludzi. Są na ogół młodszy i bardziej wysportowani od przeciętnego obywatela, za to więcej palą, więcej piją, gorzej się odżywiają, są bardziej podatni na stesy i robią masę niebezpiecznych rzeczy w trakcie szkolenia, w związku z czym wskaźnik ich umieralności przewyższa nawet lekko średnią. Umierają w takim samym tempie jak cała reszta. Wystarczy zatem dokonać kilku prostych obliczeń, by przekonać się, że średnio każdego dnia dwudziestu dwóch żołnierzy umiera w wyniku wypadków, samobójstw, chorób serca, nowotworów, udarów, chorób płuc, marskości wątroby i chorób nerek. Tyle samo, ilu umiera cywili w Detroit albo Dallas. Dlatego nie musiałem tam jechać. Jestem gliną, nie grabarzem.

Zegar ożył. Wskazówka przesunęła się, zadygotała i znieruchomiła. Trzy minuty po północy. Telefon zadzwonił ponownie. Ktoś telefonował, by życzyć mi szczęśliwego Nowego Roku. To była sierżant dyżurująca w sąsiednim gabinecie.

— Szczęśliwego Nowego Roku — powiedziała.

— Wzajemnie — odparłem. — Nie mogłaś wstać i zajrzeć do mnie?

— A ty nie mogłeś zajrzeć do mnie?
— Rozmawiałem przez telefon.
— Kto dzwonił?
— Nikt ważny. Po prostu jakiś żołnierzycy wykitował tuż przed początkiem nowej dekady.

— Chcesz kawę?
— Jasne. Czemu nie? — odparłem i odłożyłem słuchawkę.

Służyłem w armii od ponad sześciu lat, a wojskowa kawa należała do rzeczy, dzięki którym było mi tam dobrze. Jest najlepsza na świecie, bez dwóch zdań. Podobnie jak sierżanci. Ta była góralką z północnej Georgii. Znałem ją od dwóch dni. Mieszkała poza bazą w przyczepie kempingowej na jakimś typowym dla Karoliny Północnej wygwizdowie. Miała małego synka. Opowiedziała mi o nim wszystko. Nie dowiedziałem się za to nic o mężu. Była koścista, żyłasta i twarda jak dziób dzięcioła, ale polubiła mnie. Doszedłem do tego wniosku, bo przynosiła mi kawę. Kiedy cię nie lubią, nie przynoszą ci kawę. Wbijają ci za to nóż w plecy. Drzwi mojego gabinetu otworzyły się i weszła z dwoma kubkami kawy, jednym dla siebie, drugim dla mnie.

— Szczęśliwego Nowego Roku — powtórzyłem.

Postawiła oba kubki na moim biurku.

— Będzie szczęśliwy? — zapytała.

— Czemu nie?

— Nie ma już połowy muru berlińskiego. Pokazywali to w telewizji. Urządzili tam sobie wielką balangę.

— Cieszę się, że ktoś gdzieś balanguje.

— Mnóstwo ludzi. Olbrzymi tłum. Wszyscy śpiewają i tańczą.

— Nie oglądałem wiadomości.

— To było sześć godzin temu. Różnica czasu.

— Pewnie nadal nad nim pracują.

— Mają młoty kowalskie.

— Wolno im. Ich połowa to wolne miasto. Walczyliśmy o to przez czterdzieści pięć lat.

— Wkrótce nie będziemy już mieli żadnego wroga.

Spróbowałem kawy. Gorąca, czarna, najlepsza na świecie.

— Wygraliśmy — powiedziałem. — To chyba dobrze?

— Niekoniecznie, jeśli płaci ci Wuj Sam.

Ubrana była podobnie jak ja w standardowy mundur polowy w leśnym kamuflażu. Miała równo podwinięte rękawy bluzy i idealnie poziomą opaskę z literami MP. Domyśliłem się, że przypina ją agrafkami w niewidocznym miejscu z tyłu. Jej buty były wyglansowane na wysoki połysk.

— Masz jakiś mundur w pustynnym kamuflażu? — zapytałem.

— Nigdy nie byłam na pustyni.

— Zmieniłi jego wzór. Umieścili na nim duże brązowe plamy. Pięć lat badań. Piechociarze mówią na nie „czekoladki”. To nie jest dobry wzór. Będą musieli go z powrotem zmienić. Ale dojdą do tego po kolejnych pięciu latach.

— I co z tego?

— Skoro pięć lat zajmuje im zmiana wzoru munduru, twój dzieciak będzie już na studiach, zanim dojdą do wniosku, że trzeba zredukować siły zbrojne. Więc niech cię o to głowa nie boli.

— W porządku — odparła, nie wierząc mi. — Myślisz, że dostanie się na studia?

— Nie miałem przyjemności go poznać.

Milczenie.

— Armia nienawidzi zmian — ciągnąłem. — Zawsze będziemy mieli wrogów.

Nic na to nie odpowiedziała. Telefon zadzwonił ponownie. Pochyliła się i odebrała go za mnie. Słuchała rozmówcy może przez jedenaście sekund i podała mi słuchawkę.

— Pułkownik Garber, majorze. Dzwoni z Waszyngtonu — oznajmiła, po czym zabrała kawę i wyszła z pokoju.

Pułkownik Garber był moim szefem, lecz choć miał opinię równego faceta, nie sądziłem, że dzwoni osiem minut po północy w sylwestra, by złożyć mi życzenia. To nie było w jego stylu. Niektórzy wyżsi oficerowie robią takie rzeczy. Przyjeżdżają w święta cali w uśmiechach, jakbyśmy byli ulepieni z tej samej

gliny. Ale Leonowi Garberowi coś takiego nie przysłoby do głowy. Nie zachowałby się tak w stosunku do nikogo, a już na pewno nie wobec mnie. Nawet gdyby wiedział, że tam będę.

— Reacher przy telefonie — powiedziałem.

W słuchawce zapadła długa cisza.

— Myślałem, że jesteś w Panamie — rzucił w końcu.

— Dostałem rozkazy.

— Z Panamy do Fort Bird? Dlaczego?

— Nie do mnie należy zadawanie pytań.

— Kiedy to było?

— Dwa dni temu.

— To musiało być przykre, prawda?

— Dlaczego?

— Panama jest chyba bardziej ekscytująca.

— Była w porządku.

— I zdążyli ci wyznaczyć dyżur w sylwestra?

— Sam się zgłosiłem — odparłem. — Chcę, żeby ludzie mnie polubili.

— Chyba wierzysz w cuda.

— Moja sierżant właśnie przyniosła mi kawę.

Garber na chwilę umilkł.

— Ktoś dzwonił do ciebie w sprawie martwego żołnierza w motelu?

— Przed ośmioma minutami. Kazałem mu zwrócić się z tym do dowództwa.

— A oni przekazali to komuś innemu i właśnie musiałem wyjść z balu, żeby wysłuchać dokładnego raportu.

— Dlaczego?

— Ponieważ martwy żołnierz jest dwugwiazdkowym generałem.

W słuchawce zapadła cisza.

— Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać — przyznałem.

Cisza trwała nadal.

— Generałowie są śmiertelni — dodałem. — Jak wszyscy.

Bez odpowiedzi.

— Nie zdarzyło się nic podejrzanego — kontynuowałem. — Facet po prostu odwalił kitę. Atak serca. Miał pewnie podagrę. Nie widziałem powodu, żeby się podniecać.

— To kwestia godności — stwierdził Garber. — Nie możemy pozwolić, żeby dwugwiazdkowy generał leżał w publicznym miejscu brzuchem do góry. Nie wolno nam nie zareagować. Ktoś musi być obecny.

— I to mam być ja?

— Wolałbym kogoś innego. Ale w tym momencie jesteś prawdopodobnie najwyższym rangą trzeźwym żandarmem na świecie. Więc owszem, to będziesz ty.

— Dotarcie tam zajmie mi godzinę.

— Facet nigdzie się nie wybiera. Jest martwy. I nie udało im się jeszcze znaleźć trzeźwego lekarza sądowego.

— Okay — odparłem.

— Potraktuj tę misję z szacunkiem.

— W porządku — powtórzyłem.

— I bądź grzeczny. Poza bazą jesteśmy zdani na nich. To cywilna jurysdykcja.

— Wiem, jacy są cywile — odparłem. — Kiedyś nawet jednego poznałem.

— Ale kontroluj sytuację. Rzecz jasna, jeśli będzie wymagała kontroli.

— Facet prawdopodobnie zmarł w łóżku. Jak większość ludzi.

— Dzwon do mnie, jeśli będziesz musiał.

— Dobrze się bawisz? — zapytałem.

— Wspaniale. Przyjechała do nas córka.

Rozłączył się, a ja zadzwoniłem do cywilnej dyspozytorki i poprosiłem ją o nazwę i adres motelu. Następnie zostawiłem kawę na biurku, powiedziałem mojej sierżant, co jest grane, i poszedłem na kwaterę, żeby się przebrać. Uznałem, że szacunek wymaga, bym przebrał się z munduru polowego w leśnym kamuflażu w wyjściowy w kolorze oliwkowym.

• • •

Pobrałem humvee z kolumny transportu żandarmerii i wyjechałem z bazy przez główną bramę. Dotarłem do motelu po pięćdziesięciu minutach. Znajdował się trzydzieści mil na północ od Fort Bird. Po drodze mijałem centra handlowe i pogrążone w mroku lasy i pola, na których, jak się domyślałem, rosły słodkie ziemniaki. Wszystko to było dla mnie nowe. Nigdy wcześniej nie służyłem w Karolinie Północnej. Drogi były puste. Wszyscy nadal bawili się na sylwestra. Miałem nadzieję, że wrócę do Fort Bird, zanim ludzie wyjadą z przyjęć i siądą za kółkiem, choć z drugiej strony dość wysoko oceniałem szanse humvee w czołowym zderzeniu z cywilnym pojazdem.

Motel wchodził w skład kompleksu niskich zabudowań wzniesionych w pobliżu dużego węzła drogowego. Był tam parking dla ciężarówek, tania restauracja otwarta w dni świąteczne i stacja benzynowa dość duża, by mogły na niej tankować osiemnastokołowce. Obok, w budynku z gazobetonu bez jednego okna, mieścił się bezimienny nocny klub. Miał różowy neon EGZOTYCZNE TANCERKI oraz parking wielkości boiska futbolowego, na którym mieniły się wszystkimi kolorami tęczy plamy oleju napędowego. Słyszałem dobiegającą ze środka głośną muzykę. Samochody parkowały dookoła w trzech rzędach. Cały teren skąpany był w żółtym świetle ulicznych latarni. Nocne powietrze było zimne, nad ziemią unosiła się mgła. Sam motel, obskurny półkolisty budynek z mniej więcej dwudziestoma pokojami, stał naprzeciwko stacji benzynowej, po drugiej stronie ulicy. Robił wrażenie pustego, ze ścian w wielu miejscach obłaziła farba. Z lewej strony była recepcja z brzęczącym automatem coca-coli i małą wiatką na samochód.

Pierwsze pytanie brzmiało: dlaczego dwugwiazdkowy generał nocował w takim miejscu? Byłem pewien, że gdyby zameldował się w Holiday Inn, Departament Obrony w ogóle nie zarządziłby dochodzenia.

Przy przedostatnim pokoju zaparkowały byle jak dwa policyjne

radiowozy. Między nimi stał zwykły, czerwony, czterocylindrowy ford z szybami pokrytymi szadzią, łysymi oponami i plastikowymi kołpakami. Z całą pewnością wypożyczony. Postawiłem humvee obok radiowożu po prawej stronie i wysiadłem. Usłyszałem lepiej muzykę dobiegającą z drugiej strony ulicy. Drzwi do przedostatniego pokoju były otwarte; nie paliło się w nim światło. Domyśliłem się, że gliniarze nie chcą, by w środku zrobiło się zbyt ciepło. Starają się nie dopuścić, by staruszek dojrzał. Nie mogłem się doczekać, żeby rzucić na niego okiem. Dałbym głowę, że nigdy przedtem nie widziałem martwego generała.

Trzej gliniarze zostali w swoich samochodach, a jeden wysiadł, żeby się ze mną przywitać. Miał brązowe spodnie od munduru, krótką skórzaną kurtkę zapiętą aż pod brodę i gołą głowę. Przypięte do kurtki plakietki powiedziały mi, że nazywa się Stockton i jest zastępcą szefa. Nie znałem go. Nigdy wcześniej tutaj nie służyłem. Był siwy, około pięćdziesiątki, średniego wzrostu, trochę miękki i ciężki, ale po wzroku, jakim zmierzył odznaki na mojej kurtce, poznałem, że podobnie jak wielu gliniarzy jest chyba weteranem.

— Majorze — odezwał się w charakterze powitania.

Skinałem głowę. Weteran, to jasne. Major ma na epoletach małe, szerokie na cal, złociste dębowe liście, po jednym z każdej strony. Facet patrzył na moje z dołu, co nie ułatwiało mu zadania. Ale wiedział, co oznaczają. I poznałem go po głosie. To on do mnie zadzwonił pięć sekund po północy.

— Jestem Rick Stockton — powiedział. — Zastępca szefa.

Był spokojny. Widział już wcześniej ofiary zawału.

— Jack Reacher — przedstawiłem się. — Oficer dyżurny żandarmerii.

Teraz to on poznał mnie po głosie. Uśmiechnął się.

— Postanowił pan jednak przyjechać.

— Nie powiedział mi pan, że denat jest dwugwiazdkowym generałem.

— To prawda.
— Nigdy nie widziałem martwego generała.
— Niewielu ludzi widziało — odparł i pomyślałem, że był w wojsku podoficerem.

— Piechota? — zapytałem.
— Piechota morska — powiedział. — Starszy sierżant.
— Mój stary był w piechocie morskiej — poinformowałem go.

W rozmowie z marines zawsze to mówię. Daje mi to coś w rodzaju genetycznej legitymizacji. Nie pozwala im dojść do wniosku, że jestem zwykłym trepem. Nie stawiam jednak kropki nad i. Nie mówię, że mój stary dosłużył się stopnia kapitana. Podoficerowie i wyższe szarże niekoniecznie patrzą sobie prosto w oczy.

— Humvee — powiedział. Patrzył na moją brykę. — Lubi pan nim jeździć? — zapytał.

Pokiwałem głową. Humvee to najlepszy sposób wymówienia HMMWV, który to skrót oznacza High Mobility Multipurpose Wheeled Vehicle, Wieloczynnościowy Pojazd Kołowy Wysokiej Mobilności. Ta nazwa mówi o nim w zasadzie wszystko. Podobnie jak wszędzie indziej w wojsku dostajesz to, co ci powiedzieli.

— Działa zgodnie z instrukcją obsługi — oznajmiłem.
— Trochę szeroki. Wolałbym nie poruszać się nim po mieście.
— Z przodu jadą czołgi — wyjaśniłem. — Przecierają drogę. Taka była chyba zasadnicza koncepcja.

Muzyka z baru nie przestawała dudnić. Stockton się nie odezwał.

— Chodźmy zobaczyć trupa — zaproponowałem.

Wprowadził mnie do środka i przekreślił kontakt, który zapalał lampę w holu. Potem następny, który oświetlił cały pokój. Zobaczyłem standardowe motelowe wnętrza. Szeroki na jard przedpokój z szafą po lewej i łazienką po prawej stronie. Za nim prostokątny pokój o wymiarach cztery na sześć jardów z wbudowanym biurkiem tej samej szerokości co szafa i podwójnym łóżkiem tej samej długości co łazienka. Niski sufit. Szerokie

okno w drugim końcu, z wbudowanym pod nim klimatyzatorem. Większość rzeczy w pokoju była sfatygowana, podłej jakości i brązowego koloru. Całe wnętrze robiło wrażenie ciemnego, wilgotnego i żalosego.

Na łóżku leżał na brzuchu martwy mężczyzna.

Był nagi, biały, całkiem wysoki, dobiegający chyba sześćdziesiątki. Zbudowany jak kończący karierę profesjonalny sportowiec. Jak trener. Nadal miał porządne mięśnie, ale również schaby na plecach, jak wszyscy starzy faceci, nawet ci wysportowani. Blade, bezwłose nogi. Stare blizny. Kręcone siwe włosy przycięte blisko skóry i popękana, ogorzała skóra na karku. Typowy oficer. Można by go pokazać dowolnej setce osób i wszyscy twierdziliby bez cienia wątpliwości, że to wojskowy.

— Tak go znalezione? — zapytałem.

— Tak — odparł Stockton.

Drugie pytanie: dlaczego tak wcześnie? Facet, który wynajmuje pokój na noc, oczekuje prywatności przynajmniej do chwili, kiedy rano pojawi się pokojówka.

— Jak? — zapytałem.

— Jak co?

— Jak odkryto, że nie żyje? Zadzwoił pod dziewięćset jedenaście?

— Nie.

— Więc jak?

— Zobacz pan.

Przez chwilę milczałem. Nic jeszcze nie zobaczyłem.

— Obróciliście go na plecy?

— Tak. A potem obróciliśmy go z powrotem.

— Mogę zerknąć?

— Niech pan się nie krępuje.

Podszedłem do łóżka, wsunąłem lewą rękę pod pachę zmarłego i przewróciłem go na plecy. Był zimny i trochę sztywny. Zaczęło się stężenie pośmiertne. Ułożyłem go równo na wznak i zauważyłem cztery rzeczy. Po pierwsze, jego skóra miała wyraźny

szary odcień. Po drugie, na twarzy widniał grymas szoku i bólu. Po trzecie, złapał się prawą ręką za lewe ramię tuż przy bicepsie. Oraz po czwarte, miał założony kondom. Ciśnienie jego krwi dawno już opadło, nie miał erekcji i prawie pusty kondom zwisał niczym przezroczysta fałda bladej skóry. Zmarł przed osiągnięciem orgazmu. To było jasne.

— Atak serca — powiedział stojący za mną Stockton.

Pokiwałem głową. Wskazywał na to szary odcień skóry. A także szok i zdumienie na twarzy, kiedy złapał go ból w lewym ramieniu.

— Rozległy — mruknąłem.

— Ale przed penetracją czy po? — zapytał Stockton. W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie.

Spojrzałem na poduszki. Łóżko było zasłane. Trup leżał na kołdrze naciągniętej na poduszki. Na pościeli widać było jednak wgłębienia, które zostawiła głowa, a także poruszające się w przód i w tył łokcie i stopy.

— Leżała pod nim, kiedy to się stało — powiedziałem. — To oczywiste. Musiała się spod niego wydostać.

— Kurewska śmierć dla mężczyzny.

Odwrociłem się.

— Znam gorsze.

Stockton tylko się do mnie uśmiechnął.

— Co? — zapytałem.

Nie odpowiedział.

— Żadnego śladu kobiety? — zapytałem.

— Najmniejszego — odparł. — Zapadła się pod ziemię.

— Nie widział jej recepcjonista?

Stockton znowu się uśmiechnął.

Spojrzałem na niego i zrozumiałem. Tani motel blisko skrzyżowania autostrad, z parkingiem dla ciężarówek i nocnym klubem, trzydzieści mil od bazy wojskowej...

— To była prostytutka — powiedziałem. — Dzięki temu go znalezione. Znał ją recepcjonista. Zobaczył, jak wybiega o wiele za wcześnie. To go zaciekało i poszedł sprawdzić.

Stockton pokiwał głową.

— Od razu do nas zadzwonił. Pani, o której mowa, od dawna już oczywiście nie było. A on zaprzecza, że w ogóle przebywała w pokoju. Twierdzi, że to nie jest tego rodzaju miejsce.

— Byliście tu już wcześniej wzywani?

— Od czasu do czasu — odrzekł. — I zapewniam pana, że to jest tego rodzaju miejsce.

„Kontroluj sytuację”, powiedział Garber.

— Atak serca, tak? — powiedziałem. — Nic więcej.

— Prawdopodobnie — mruknął Stockton. — Ale będziemy musieli zrobić sekcję, żeby wiedzieć na pewno.

W pokoju było cicho. Słyszałem tylko trzaski radia ze stojącego na zewnątrz radiowozu i muzykę z baru po drugiej stronie ulicy. Odwróciłem się z powrotem w stronę łóżka. Przyjrzałem się twarzy zmarłego. Nie znałem go. Popatrzyłem na jego ręce. Miał sygnet West Point na prawej i obrączkę ślubną na lewej, starą, szeroką, chyba dziewięciokaratową. Spojrzałem na jego pierś. Identyfikatory miał schowane pod prawą pachą, tam gdzie złapał się lewą ręką za biceps. Uniosłem z pewnym trudem jego rękę i wyciągnąłem je. Były w gumowych osłonach. Podniosłem je, aż napiął się łańcuszek. Nazywał się Kramer, był katolikiem, miał grupę krwi 0.

— Moglibyśmy zrobić za was sekcję — oświadczyłem. — W Wojskowym Centrum Medycznym Waltera Reeda.

— Poza granicami stanu?

— To generał.

— Chcecie wyciszyć sprawę.

Pokiwałem głową.

— Jasne, że chcemy. Wy byście nie chcieli?

— Pewnie tak — odparł.

Puściłem identyfikatory i sprawdziłem nocne szafki oraz wbudowane biurko. Nic tam nie znalazłem. W pokoju nie było telefonu. Domyśliłem się, że w tego rodzaju miejscu trzeba korzystać z automatu w recepcji. Minałem Stocktona i sprawdziłem łazienkę. Przy umywalce ujrzałem własność prywatną —

czarną skórzaną kosmetyczkę Doppa, zamkniętą na suwak. Widniały na niej inicjały KRK. Otworzyłem ją i znalazłem w środku szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia oraz małe podróżne tubki pasty do zębów i kremu do golenia. Nic więcej. Żadnych leków. Żadnych recept na leki nasercowe. Żadnych paczek z kondomami.

Zajrzałem do szafy. Był tam mundur wyjściowy, elegancko umieszczony na trzech oddzielnych wieszakach: spodnie złożone kantem na poprzeczce pierwszego, kurtka na drugim, koszula na trzecim. Krawat nadal wsunięty był pod kołnierzyk koszuli. Na półce nad wieszakami leżała pośrodku oficcerska polowa czapka ze złotym wężykiem na otoku. Po jej jednej stronie leżał złożony biały podkoszulek, po drugiej złożone białe bokserki.

Obok opartej o tylną ściankę torby frakowej w kolorze spłowiałej zieleni na podłodze szafy stały dwa wyglansowane czarne buty ze zwiniętymi skarpetkami w środku. Torba frakowa nie należała do wyposażenia wojskowego i miała skórzane wzmocnienia po bokach. Nie była zbyt pełna.

— Dostaniecie raport — oznajmiłem. — Nasz patolog da wam kopię, do której nic nie zostanie dodane i z której nic nie zostanie usunięte. Jeśli coś wam się nie spodoba, możemy bez gadania oddać wam piłkę.

Stockton nie odpowiedział, ale nie wyczułem z jego strony żadnej wrogości. Niektórzy gliniarze są całkiem w porządku. Duża baza w rodzaju Fort Bird w sporym stopniu wpływa na otaczający ją cywilny świat. Z tego względu żandarmi kontaktują się często ze swoimi cywilnymi kolegami i czasami jest to dość bolesne, a czasami nie. Miałem wrażenie, że Stockton nie będzie robił problemów. Był zrelaksowany. W gruncie rzeczy wydawał mi się trochę leniwy, a lenie zawsze woła zwalić robotę na kogoś innego.

— Ile? — zapytałem.

— Co ile?

— Ile kosztuje tutaj dziwka?

— Wystarczy dwadzieścia baksów. W tej okolicy nie może pan liczyć na nic egzotycznego.

— A pokój?

— Koło piętnastu.

Obróciłem zwłoki z powrotem na brzuch. Nie było to łatwe. Ważyły co najmniej dwieście funtów.

— I co pan na to? — zapytałem.

— Na co?

— Na to, żeby sekcję wykonano w centrum Waltera Reeda. Przez chwilę trwała cisza. Stockton gapił się w ścianę.

— To jest do zaakceptowania — mruknął.

Ktoś zapukał w otwarte drzwi. Jeden z gliniarzy z radiowozu.

— Dzwonił właśnie lekarz sądowy — powiedział. — Dotrze tu najszybciej za dwie godziny. Jest sylwester.

Uśmiechnąłem się. „Do zaakceptowania” mogło się zmienić w „wysoce pożądane”. Za dwie godziny Stockton będzie musiał być gdzie indziej. Skończy się cała masa imprez i na drogach rozpęta się piekło. Za dwie godziny będzie mnie błagał, żebyśmy zabrali gdzieś starego. Nie odezwałem się. Gliniarz wrócił do radiowozu, a Stockton przeszedł przez cały pokój i stanął przy zasłoniętym firanką oknie, plecami do zwłok. Wyjąłem z szafy wieszak z kurtką mundurową i powiesiłem go na drzwiach łazienki, gdzie padało na nią światło z przedpokoju.

Oględziny munduru wyjściowego to jak czytanie książki albo słuchanie faceta w barze, który opowiada ci o swoim życiu. Ten pasował na ciało leżące na łóżku i miał nazwisko *Kramer* na plakietce — to samo, które zobaczyłem na identyfikatorze. Była na nim wstążka Purpurowego Serca z dwoma brązowymi pękami dębowych liści, które oznaczały drugie i trzecie przyznanie medalu — zgadzało się to z liczbą blizn. Na epoletach były dwie srebrne gwiazdy, co potwierdzało, że był generałem dywizji. Insignia rodzaju sił zbrojnych wskazywały wojska pancerne, naszywka na ramieniu dwunasty korpus. Poza tym na kurtce było sporo odznaczeń korpusowych i cała masa baretek jeszcze

z czasów Wietnamu i Korei, z których niektóre zdobył z ciężkim trudem, a inne z mniejszym. Było też kilka zagranicznych odznaczeń, których eksponowanie było dozwolone, lecz nie obowiązkowe. To był bardzo ciekawy mundur, względnie stary, bardzo zadbane, standardowy, nie szyty na miarę. Mówił mi, że jego właściciel był próżny — ale wyłącznie na polu zawodowym.

Przeszukałem kieszenie. Były puste z wyjątkiem jednej, w której znalazłem kluczyk do wynajętego samochodu. Doczepiono do niego plastikowy breloczek w kształcie jedyńki, w który wsunięta była karteczka z żółtym nadrukiem Hertz i numerami rejestracyjnymi wpisanymi ręcznie czarnym długopisem.

Nie było portfela. Ani drobnych monet.

Powiesiłem z powrotem kurtkę mundurową w szafie i sprawdziłem spodnie. Puste kieszenie. Sprawdziłem buty. Nic poza skarpetkami. Sprawdziłem czapkę. Nic schowanego pod otokiem. Wyjąłem z szafy torbę frakową i otworzyłem ją na podłodze. Był w niej mundur polowy i czapka typu M43. Skarpetki i bielizna na zmianę oraz wyglansowane polowe buty z czarnej skóry, a także pusta przegródka, w której Kramer trzymał pewnie kosmetyczkę. Nic więcej. Kompletnie nic. Zapiąłem torbę i wsadziłem ją z powrotem do szafy. Ukucnąłem i zajrzałem pod łóżko. Nic nie zobaczyłem.

— Czy jest coś, co powinno nas niepokoić? — zapytał Stockton.

Podniosłem się i potrząsałem głową.

— Nie — skłamałem.

— Więc może pan go zabrać — oznajmił. — Ale chcę mieć kopię raportu.

— Zgoda — powiedziałem.

— Szczęśliwego Nowego Roku — odparł.

Poszedł do swojego radiowozu, a ja do humvee. Zgłosiłem 10-5, „potrzebny ambulans”, i powiedziałem mojej sierżant, żeby przyjechali poza tym dwaj funkcjonariusze, którzy spiszą i zapakują wszystkie osobiste rzeczy Kramera i przewiozą je do

mojego biura. Następnie usiadłem za kierownicą i czekałem, aż odjadą ludzie Stocktona. Kiedy zniknęli we mgle, wróciłem do pokoju, zabrałem z kurtki Kramera kluczyk do samochodu i otworzyłem nim ford.

Nie było w nim nic oprócz zapachu płynu do czyszczenia tapicerki i fotokopii umowy wynajmu. Kramer odebrał samochód o trzynastej trzydzieści dwie na lotnisku Dullesa w Waszyngtonie. Zapłacił za wypożyczenie prywatną kartą American Express i otrzymał zniżkę. Licznik mil przy wydaniu samochodu wynosił 13 215. Teraz było na nim 13 513 mil. Jeśli nie pomyliłem się w liczeniu, oznaczało to, że przejechał 298 mil, co odpowiadało mniej więcej odległości między lotniskiem i miejscem, w którym się znajdowaliśmy.

Wsadziłem kopię umowy do kieszeni i zamknąłem samochód. Zjrzałem do bagażnika. Był kompletnie pusty.

Schowałem kluczyk do kieszeni i przeszedłem przez ulicę, kierując się do baru. Im bardziej się do niego zbliżałem, tym głośniejsza stawała się muzyka. W odległości dziesięciu jardów poczułem wyrzucane przez wentylatory opary piwa i dym papierosowy. Przecisnąłem się między zaparkowanymi samochodami i odnalazłem drzwi. Były z litego drewna, zamknięte, żeby wewnątrz się nie wychłodziło. Otworzyłem je i w twarz uderzył mnie łomot muzyki i fala gęstego, gorącego powietrza. Cały lokal pulsował. Zobaczyłem może z pięćset osób, pomalowane na czarno ściany, purpurowe reflektory i lustrzane kule. Na scenie w głębi spostrzegłem tancerkę na rurze, całą nagą, jeśli nie liczyć kowbojskiego kapelusza. Chodziła na czworakach, zbierając dolarowe banknoty.

Przy kasie za drzwiami siedział wielki facet w czarnym T-shircie. Jego twarz skrywała się w cieniu. W blasku jednego z reflektorków spostrzegłem, że ma klatkę piersiową wielkości baryłki z ropą. Muzyka była ogłuszająca, ludzie stali ściśnięci ramię przy ramieniu, od ściany do ściany. Cofnąłem się i drzwi same się zatrasnęły. Przez chwilę stałem nieruchomo na chłodzie, a potem odwróciłem się i ruszyłem w stronę recepcji motelu.